



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

SZARAŃCZA.

Kilka jest rodzajów owadów zwanych szarańczą, wszystkie mają duże głowy, oczy wystające, i skrzydła składane wachlarzowato. Należą do rodziny skaczących, więc mają długie tylne nogi które skutkiem pocierania się o skrzydła, wydają odgłos sprawiający że gdy chmara szarańczy nadciąga, zdaje się słyszeć szum ulewy. Owady te żyją trawami i liśćmi a nawet ogryzają kory z drzew, gdyż są niezmiernie żarłoczne, więc gdzie się pojawią poza sobą pozostawiają tylko puste pola i ogrody. Największa szarańcza zwana „wędrowną” wspomniana w najdawniejszych dziejach jako plaga, i dziś jeszcze nie przestaje szerzyć zniszczenia w miejscach do których zawita. Ojczyzną jej są okolice zachodniej Azji i północnej Afryki, pojawia się wszakże i w południowej Europie, w dawniejszych zaś czasach posuwała się także ku północy, skoro i u nas znaną była jak o tem wspominają kronikarze. W chwili obecnej nawiedziła Afrykę gdzie tak groźne przybiera rozmiary, że arcybiskup katolicki kardynał Lavignerie, wydał odezwę dla odwrócenia groźącej klęski. „Żyjemy mówi, pod groźą plagi, jaką w czasach Mojżesza Bóg przełamał opór Faraona. Szarańcza napływa do nas, zrodzona na miliony, rozmnaża się na miliardy, pędzi gnana niewidzialną ręką w olbrzymie łącząc się chmury i niszczy napotykaną oazy jedna po drugiej. Obecnie pokryła całą niemal Afrykę północną. Gdyby wszystko, co żyje, nawet trzody rolników, pośpieszyło z ratunkiem, ratunek ów nie wybawiłby chrześcian od klęski; jedyna ucieczka w Bogu



Szarańcza.

i modlitwie, boć jeżeli Pan ramieniem swoim nie powstrzyma jej, nieobliczone czekają nas klęski. Św. Augustyn opowiada, iż za jego czasów w jednej tylko prowincji, która zaledwie część dzisiejszej Konstantyny stanowiła, 800,000 ludzi padło z głodu i chorób, wywołanych gnijącą szarańczą.”

Do obrazu zniszczenia przez szarańczę skreślonego przez prymasa Afryki, w pobożnej odezwie do jej mieszkańców, dodamy jeszcze opis jej przejścia przytoczony przez pewnego znanego podróżnika. „Szarańcza, mówi on, napływa czarną chmurą z chrzęstem, dosłyszalnym z wielkiego już oddalenia. Pokrywa ulice, pola, domy, wsie i lasy. A chmura ta rośnie

i rośnie, pochłania wszystko, wszystko, wszystko, przebywa rzeki, wzgórze, mury, ogień, niszczy trawy, kwiaty, owoce, zboża, korę drzew, a ciągle, ciągle napływa świeża. Nikt jej w pochodzie nie jest wstanie powstrzymać, ani mieszkańcy rozpalający ogień, ani wojsko, ani cała ludność kraju. Góry zabitej szarańczy leżą obok żywej, Gdy się jej 10 wytepi powstaje na to miejsce 100, gdy padnie 100 wnet 1000 nowych się rodzi, zalewa ulice, ogrody, zatokę morską, bo i morze pełne jej bywało, żyje, rodzi się, ginie i gnije, roznosząc zarazę i głód.”

Rząd Francuzki w Algerze przedsięwziął obecnie środki ku tępieniu szarańczy. Niewiadomo jeszcze jakie będą skutki tych starań.

Nadmienić tu jeszcze musimy że są inne, nieszkodliwe rodzaje szarańczy, które służą ludom afrykańskim za pożywienie. Suszą je i tak jedzą, lub mielą na mąkę.

Wyjątki z Książeczki Władzia.

podawała Z. Morawska.

Dnia 16 Stycznia 1870 r.

Dziś właśnie rok jak znalazłem książeczkę, która mnie natchnęła do zapisywania ważniejszych chwil w moim życiu, a przede wszystkim do wnikania w siebie i poprawienia się z wad moich. Kiedy obecnie przeglądam te kartki, nie widzę nic coby rzeczywiście było godne pochwały. Jedno tylko żem przeszedł do czwartej i że jestem prymusem. Aleć to nie wielkie rzeczy, kończę rok piętnasty i jestem w czwartej klasie, słabowity Ludwiś jest w tej samej klasie a o dwa miesiące odemnie młodszy. Nie zapisałem też bardzo ważnego wypadku, który mi dziś stanął w pamięci. Było to przy końcu wakacyi, pojechaliśmy z ojcem do fabryki, ojciec dawał rozmaite rozporządzenia, oglądał nowy gatunek papieru wyrobionego z drzewa, ja spojrziałem, wziąłem nawet kilka arkuszy dla siebie i Ludwisia, ale wkrótce znudziło mnie to, zacząłem chodzić i ziewać.

Chodząc tak po rozmaitych korytarzach, zaszedłem do maszynisty, który siedząc przy swoim przyrządzie, poddawał parę do koła obrotowego. Cały ogrom maszyny tyle razy już przezemnie widziany, nie zaciekawiał mnie wcale, z nudów jednak zacząłem rozmawiać z maszynistą. Po chwili odszedłem od niego i bez najmniejszej myśli poruszyłem jeden z zapasowych kranów. Nagle w całej fabryce zrobił się huk nie do opisania; ja sam upadłem na ziemię i przez chwilę nie mogłem się podnieść, cały budynek zadrżał i zdawało się, że runie zasypując nas swemi gruzami...

Kto wie coby się było stało, gdyby nie przytomność maszynisty, który zamknął kran główny, a dostrzegłszy poruszony kran zapasowy, przykręcił go z wielką szybkością. Alarm cały nie trwał i minuty, ale wśród tej chwili, mógłbym być pozbawić życia setki ludzi! Szcześniećem cała awantura skończyła się na oparzeniu robotnika, który jednak cały tydzień nie mógł przyjść do fabryki. Oprócz bowiem że miał oparzone ręce, twarz i szyję, potłukł się silnie upadając między deski.

Ojciec dał surowe napomnienie maszyniście, on sam czuł się bardzo winnym, że nie dopatrywał tak ważnej rzeczy, zachodził jednak w głowę, kto mógł kran poruszyć, mnie o to nie posądzał bynajmniej. Ja zaś sprawca wszystkiego złego, nie przyznałem się do winy!

I czemu?

Oto wstyd mi było wyznać, że ja, syn właściciela fabryki, przyszyłem jej kierownik, popełniłem taką niedorzeczność!

Prócz tego usłyszałem, gdy ojciec po uspokojeniu całego alarmu i obejrzeniu, czy gdzie nie grozi nowe niebezpieczeństwo! — rzekł do maszynisty:

— Musiał chyba jakiś osioł wpaść tutaj i nieumiejętną łapą dotknąć się kranu! Niechże pan uważa kto tędy przechodzi.

Nie chciałem, aby to miano „osioł” przyłgnęło do mnie, a jednak z prawa słusznie mi się należało!

Gorzej jeszcze, okryłem się płaszczykiem obłudy!

Kiedysmy bowiem wyszli z fabryki, zapytałem ojca:

— Czy ten robotnik przez czas swojej choroby otrzyma zapłatę?

— Robotnik ten nie jest stale w fabryce, przyszedł do roboty wczoraj z sąsiedniej wioski, wynajęty był dziennie, jak zwykle, kiedy trzeba zwiększyć pomoc rąk ludzkich — odpowiedział ojciec i wsiedliśmy obaj do kabrioletu.

Chwilkę jechaliśmy nic nie mówiąc do siebie, ja pierwszy przerwałem milczenie.

— Przecież to nie on był winien...

— Kto? — zapytał ojciec spojrzawszy na mnie ciekawie.

— Ten robotnik w fabryce — odrzekłem.

— Aa?... więc ciągle jeszcze o nim myślisz? — spytał znów ojciec, i wpatrzył się we mnie tak badawczo, iż mimowolnie się zarumieniłem, pokonałem się jednak i rzekłem jak najnaturalniej.

— Jakże nie mam myśleć, człowiek biedny, cieszył się zapewne z zarobku a tu naraz zostaje okaleczony, musi czas jakiś zostać w domu pozbawiony roboty...

— Owszem, gdy wyzdrowieje przyjmę go napowrót — rzekł krótko ojciec!

— Tak, ale teraz leży chory i nietylko że nie zarobi, ale nawet straci na doktora i lekarstwa.

— Widziałeś przecie że felczer fabryczny zajął się jego opatrunkiem, a wszelkie potrzebne środki wydadzą mu bezpłatnie z apteki.

— Tak, ale straci zarobek — mówiłem, chcąc wydstać od ojca jakieś pocieszające słowo.

— Ha, to trudno! — rzekł krótko ojciec i najobojętniej przypatrywał się skoszonym świeżo łąkom, od których rozkoszna woń siana napełniała całe powietrze.

Jechaliśmy znów chwilkę w milczeniu. W duszy mojej najrozmaitsze rozgrywały się uczucia; żal mi było nietylko tego, że robotnik straci zapłatę podczas choroby, ale że nie będzie mógł napawać się widokiem pól i łąk, boć widziałem jak mu twarz całą obłożono, a felczer mówił, iż będzie musiał czas jakiś z tym opatrunkiem zostać na twarzy.

Wyobrażałem też sobie jego żonę i dzieci płaczące na widok chorego ojca; może głodne, gdy on nie będzie mógł na nich pracować. Wstrząsnąłem się cały i już, już miałem ojcu wyznać, że to ja byłem sprawcą tego nieszczęścia, chciałem już przyznać się do mego nieogłędnego postępowania, gdy ucułem wzrok ojca badawczo na siebie zwrócony.

Zarumieniłem się po uszy, zdawało mi się, że ojciec odgadł we mnie winowajcę, ten drugi zły ja odezwał się sepczęc mi do ucha:

— Poco masz się przyznawać? stało się, nie odrobisz tem złego a wszyscy śmiać się tylko będą z ciebie.

— Z czegożby się śmiali — odpowiedziałem podszeptem — wszak nie zrobiłem tego naumyślnie, każdemu się zdarzy zrobić coś złego przez nieuwagę...

— A osioł?! — zabrzączał mi w uszach, przypominając sobie, co ojciec powiedział o niewiadomym sprawcy.

Wstrząsnąłem się, zacząłem w sobie i zamiast z całą pokorą przyznać się do winy, zapytałem:

— I któż tu w całej tej sprawie najwinniejszy?

— W jakiej? — spytał znów ojciec, jak gdyby nic dziś ważnego się nie zdarzyło.

Zdziwiła mnie niepomału ta obojętność. Ojciec zwykle takie sprawy brał bardzo do serca, dziś wcale o tem nie myślał; odrzekłem jednak.

— A no w sprawie tego robotnika.

— Haa?! — powtórzył ojciec. — Myślisz więc jeszcze o nim?

— Rozumie się! żał mi go bardzo i nie pojmuję, czemu on ma pokutować za cudzą winę.

— Któż więc jest winnym według ciebie?

— Czy ja wiem? para tak gwałtownie syknęła... — mówiłem, rumieniąc się sam za siebie.

— Para??... trudnoż karać parę, tego zaś co kran odkręcił, nikt jakoś nie spostrzegł! I spojrział na mnie takim wzrokiem, iż jestem pewny, że w tej chwili doskonale się domyślił, że to ja całego narobiłem bigosu.

Zajechaliliśmy właśnie przede dwór — ojciec wysiadł nie rzekszycy nic więcej. Przez ciąg kolacy i herbaty rozmawiał o rzeczach najzupełniej obojętnych, kiedy tymczasem mnie ciągle stał na myśli oparzony i potłuczony robotnik.

Nie mogłem o czym innym myśleć i mówić, potrzebowałem komuś tę rzecz opowiedzieć i gdyśmy wstali od stołu, wziąłem zaraz pod rękę Ludwisia, wyszedłem z nim do ogrodu i zaraz mu wszystko opowiedziałem.

— Wszystko, prócz tego, że sam byłem winowajcą.

— Ależ to wszyscy robotnicy i cała fabryka mogła pójść w niwece! — zawołał Ludwiś.

— Ha!... — rzekłem, łapiąc się na tym samym wykrzykniku, którym ojciec przyjmował moje zapytania.

— Biedny robotnik! — rzekł Ludwiś po chwili milczenia.

— No tak, ale postaram się, aby mu przez czas choroby na niczem nie zbywało, a naturalnie i jego dzieciom.

— Pocziwy jesteś! I Ludwiś serdecznie mi dłoń uściśnął.

Po tym uścisku znów się zarumieniłem, bo czułem, że go brał niezasłużenie. Wtem przybiegła do nas Józia i po swojemu zaczęła szczebiotać.

— Czy wiecie co się stało w fabryce?

— Co ci do tego co się dzieje w fabryce! idź sobie! — ofuknąłem.

— A grzeczny jesteś! — rzekła odsuwając się odemnie i nadąsana dodała:

— Wszyscy mają dziś jakieś tajemnice, ojciec rozmawia coś pocichu z panią Mrukowiecką, a ten na mnie krzyczy, jakbym co złego zrobiła — dodała odchodząc.

— Józiu, Józiu! — zawołał Ludwiś — nie gniewaj się, Władzio tylko żartował.

I chciał ją zatrzymać.

— Wcale nie żartowałem! ona zawsze musi się wtrącić w to, co do niej nie należy — rzekłem gniewnie.

— Przepraszam cię bardzo, ale to do mnie należy; wszak ojciec każe mi zawsze odwiedzać, jeżeli kto zostanie raniony w fabryce.

— Nieznośna jesteś, idź sobie! — powtórzyłem.

Spojrziała na mnie i wysunawszy się, zatrzymującemu ją Ludwisowi, odeszła ocierając łzy z oczu.

— Nieznośna dziewczyna, będzie mi dawała nauki!

— Ależ rozdrażniony jesteś Władziu — rzekł Ludwiś i poszedł za nią.

Zły byłem na oboje, mruknąłem więc:

— A idźcie sobie!

Potem zaś przyszło mi na myśl, że ojciec widać po mojemu odejściu opowiedział całą awanturę, domyślił się że to ja byłem jej sprawcą, powiedział pewnie o tem matce Ludwisia, bo i cóżby miał za tajemnice, o której wspomniała Józia.

Postanowiłem sobie żeby się przyznać, szedłem nawet z tym zamiarem do domu.

— Spojrzałem przez okno, ojca jeszcze nie było w jego pokoju, i znów jakiś głos mi szepnął:

— Po kiego licha masz się przyznawać! ojciec może ani śni podejrzycić cię o to...

— Prawda, zresztą nie zrobiłem tego naumyślnie, ojciec zaś wystąpiłby zaraz z morałem, wszyscyby wiedzieli, a tak, nikt się nie dowie. W fabryce niema szkody a robotnikowi wynagrodzę z moich własnych pieniędzy; mam przecież piętnaście rubli! Tak, nawet to będzie wyrzeczenie się nowego siodła, na które zbierałem.

Z tym zamiarem usnąłem, ale nie powiem, że bym spał tak dobrze jak zwykle. Budziłem się i zdawało mi się, że słyszę straszny łoskot i widzę walącą się fabrykę.

— Głupstwo! — myślałem sobie — najwyraźniej zraziłem się niepotrzebnymi skrupułami od Ludwisia, który jak tyłko co zbroi, ba, nawet pomyśli, w tej chwili spowiada się matce.

Wstałem daleko raniiej niż zwykle, kazałem osiodłać sobie konia i pojechałem do wioski, gdzie mieszkał robotnik.

Żona jego, myślałem że oszaleje z radości gdy otrzymała piętnaście rubli, obudziła dzieci i kazała im dziękować. Wysypało się tego jak maku z makówki, całowały mnie po rękach, chwyciły za nogi, ledwie się mogłem od nich uwolnić. W pierwszej chwili żał mi było, że oddałem wszystkie pieniądze, robotnik bowiem nie był tak chory, jak się to w pierwszej chwili zdawało, gdy jednak w fabryce i na wszystkie strony zaczęto rozpowiadać o mojej hojności, byłem bardzo z siebie zadowolony.

Ludwiś serdecznie uściśnął mi rękę i rzekł:

— Postępujesz szlachetnie, fabryka będzie miała kiedyś w tobie zacnego właściciela.

Józia uściśkała mnie wołając:

— Już się nie gniewam na ciebie, boś ty Władziu bardzo dobry, chociaż czasem mi dokuczasz!

Przyjmowałem to wszystko z miną zakłopotaną, często rumieniłem się, co brało na karb mojej skromności i wszystko ucichło. A głos jakiś wciąż szeptał:

— Niema tego złego coby na dobre nie wyszło, robotnik wkrótce wyzdrowiał, za te piętnaście rubli kupił sobie krowę, owszem, przecie wyszło mu to na dobre! Tylko ojciec i matka Ludwisia nie rzucili mi żadnego słówka i to właśnie mnie niepokoiło i dotąd niepokoi. Ciągłe bowiem przychodzi mi na myśl, że ojciec wie o wszystkim i powiedział o tem pani Mrukowieckiej, a mnie nie zburczał dla jakichś sobie wiadomych powodów. Ach, jak to złe i kłamstwo nigdy się nie ukryje!

Dnia 26 Stycznia 1870 r.

Od tygodnia biorę lekcye tańca, ale zdaje mi się, że nie zamieściłem, że od wakacyi mieszkam u matki Ludwisia. Nie wiem, czemu się to dzieje, ale zawsze ważniejsze rzeczy zapisuję po mniejszych, i teraz oto po lekcjach tańca przyszło mi dopiero na myśl, że nie zapisałem o zmianie stancyi. A jednak naprawdę ważna to rzecz bardzo. Wszakże i na poprzedniej źle mi nie było, a jednak tak się przywiązałem do Ludwisia i jego matki, iż prosiłem ojca, żeby mnie u niej umieścił. Ojciec bardzo się z tego ucieszył, zdaje mi się, że czekał tylko na to, rzekł więc:

— Idź i sam poproś o to matki Ludwisia, i pobiegłem uradowany, będąc pewnym, że od razu zgodzi się na to, tymczasem niemało miałem z nią biedy.

— Boję się odpowiedzialności — rzekła — nigdy jeszcze nie miałam pod swoją opieką obcych dzieci...

— Czy to ja jestem obcy? — zapytałem z pewnym wyrzutem.

— Kochany mój Władziu, jesteś serdecznym bardzo chłopcem i prawie bratem dla mego Ludwisia, kocham cię też serdecznie, ale...

— Ale pani się pewnie boi, że bym nie wrócił do mego urwisostwa — zawołałem.

GROBOWIEC OSMANA.

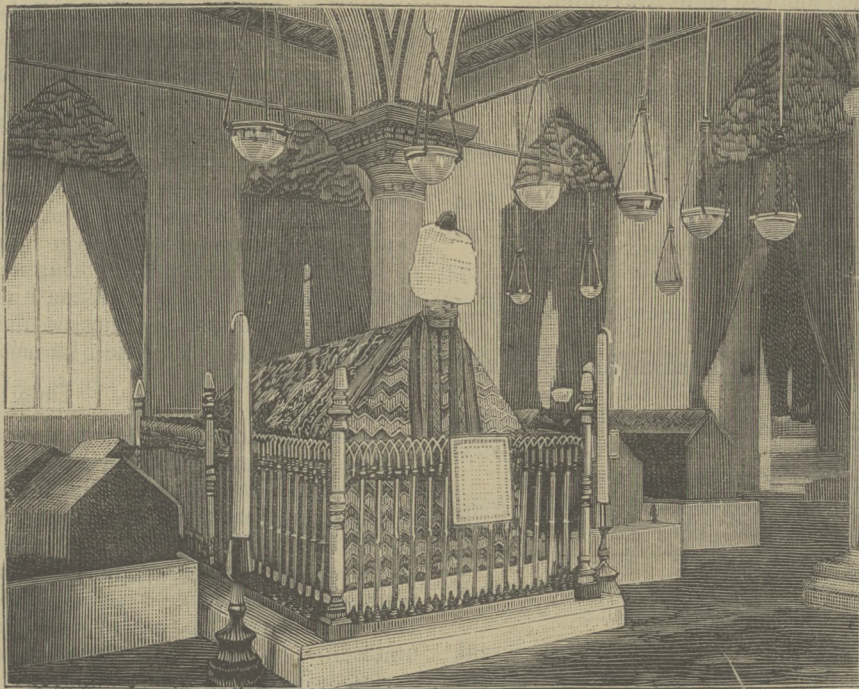
Starożytny gród Brussa, największe po Smyrnie miasto w Azji Mniejszej, założone zostało wedle podań na dwa wieki przed Chr. przez Prusyasa króla Bitynii i od jego imienia nazwę swoją wywodzi, a następnie podbite przez Rzym należało do Cesarstwa Wschodniego. W r. 1327 po dziesięcioletniem oblężeniu zdobyte zostało przez Turków, Ottomanów, pod wodzą Osmana czyli Otmana. Syn Osmana, Orkan pierwszy

przyjął tytuł Padyszaha i Brusę wyniósł do godności stolicy nowo założonego państwa Ottomanów, gdzie dziś wznosi się wspaniały meczet *Oulon Djami* z grobowcami sześciu pierwszych sułtanów. Świątynia ta dzieli się na 28 kompartymen-tów czyli kaplic, z których każda z wyjątkiem środkowej nakryta jest osobną kopułą. Ściany wyłożone są jaspisem, onyxem i agatem, na których błyszczą złotem wyryte literami, napisy z Koranu. W środku meczetu znajduje się rodzaj ambony dębowej, rzeźbionej w pyszne arabeski, z której ulemowie czytają wiernym ustępy z Koranu.

Obok każdego ze wspaniałych i bogato rzeźbionych gro-bowców leży w kosztownej skrzyni ilustrowana kopia Koranu. Osman założył pierwsze szkoły w państwie tureckim i bar-dzo wiele rozmaitych zakładów dobroczynnych, między innymi istniejące do dziś dnia wsie, przeznaczone na przytułek dla nędzarzy i wszelkiego rodzaju tułaczy. Grobowiec też jego jest

ścił, że chociaż zdaje się, lada chwila w dół się usunie, pozostaje na miejscu od niepamiętnych czasów; wreszcie, pomimo olbrzymich jego rozmiarów, można poruszyć go jednym palcem, jak to wskazuje nasza rycina. Położenie tego kamienia jest świetnym przykładem równowagi. Zauważymy tutaj, że gład argentyński nie jest jedynym w swoim rodzaju okazem. W skalistych i górzystych miejscowościach widzimy nieraz kamienie większe lub mniejsze, zawieszane jakby cudem, bądź to na złomach gór, bądź to jedne na drugich. W danym wypadku przecież cud ten sprawiają tylko niezmiennie, fizyczne prawa równowagi, które głoszą, że aby ją otrzymać, należy umieścić dane ciało w ten sposób, aby jego środek ciężkości znajdował się jak najbliżej podstawy i aby poza nią nie wychodził.

A. M.



Grobowiec Osmana.

najwspanialszym, a meczet nawet najbogatszym z pomiędzy licznych świątyń muzułmańskich nadających Brussie miano „świętego miasta”.

Pomniki budowlane wszakże ucierpiały bardzo z powodu gwałtownego trzęsienia ziemi, jakie tu miało miejsce w r. 1855.

Brussa położona jest u stóp Olimpu, otoczona bujną roślinnością, wśród której zachwycają oczy obszerne plantacje róż, przeznaczonych na wyrób wysoko cenionego różanego olejku.

Miasto to słynie także z pięknych wschodnich haftów oraz tkanin jedwabnych.

RUCHOME GŁAZY.

W okolicach Buenos-Ayres widzieć można olbrzymi kamień spoczywający na skalistym, zaokrąglonym brzegu sporego pagórka. A przypadek tak przedziwnie gład ten umie-

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— Patrzno, Kwintusie — szepnął zwracając się do towarzysza — czy widzisz? tam, pod platanem? O sześć lub ośm kroków od laurowego płotu?... Słuchaj! Znowu ten bolesny i przeciągły jęk.

— Pewnie oćwiczono jakiego niewolnika. Stefan zarządca cesarzowej Domicyi, nie należy do ludzi dobrego serca i łagodnego usposobienia. Gdy niewolnika skazuje na chłostę, za każdym uderzeniem dozorca skóra wnet pęka. A później każe obitego postawić w gąszczu tych krzewów, gdzie komary i mrówki...

— To zgroza! — przerwał Kajus Aureliusz. — Pójdźmy natychmiast oswobodzić przywiązanego do słupa biedaka.

— Nie mamy do tego prawa.

— Przynajmniej dowiemy się co zawinił — rzekł Batawczyk i zaczął schodzić po pochyłości.

Kwintus szedł z nim chmurny i niezadowolony, wbrew przekonaniu swojemu i chęciom, jednak szedł zmuszony przez gościnność, z której służyli Rzymianie.

To, co ujrzeli, było zwyczajną, niemal codzienną rzeczą dla Rzymianina; dla obcego przecież, dla Kajusa Aureliusza było wzruszającym do głębi duszy.

Człowiek śmiertelnie blady, młody, a przecież z wyrazem niezwyklej dojrzałości na pięknym, młodzieńczym obliczu, stał przywiązany u drewnianego słupa. Plecy jego, od uderzeń różg i kijów straszliwie były poranione.

Chmara owadów krążyła nad pokaleczonym ciałem i zawisała nad nim, niby ciemny obłok.

bohaterskie poddanie się cierpieniom, wzbudziło w nim prawdziwy podziw i uszanowanie.

— Człowieku — rzekł, odpędzając chmarę owadów od zranionych bark niewolnika — któż cię nauczył tak gardzić bólem?... Zjakiego źródła czerpiesz tę niezwykłą odwagę?... Jakiż bóg uzbroił cię w tę nadludzką siłę?

Blade oblicze i smutne oczy młodzieńca rozpląmieniły się blaskiem błęgiego uśmiechu.

— Ten jedyny i prawdziwy Bóg, który lituje się nad nieszczęśliwymi — zawołał z uniesieniem — ten Bóg który opiekuje się opuszczonym sierotą, zbłąkanym wędrowcem, który kocha ubogich i nędzarzy...

Zdala dały się słyszeć kroki: ktoś nadchodził...

— Pozostawcie mnie — błagał niewolnik — idzie dozorca.



Ruchome głazy.

— Nieszczęsny! — zawołał Aureliusz — i cóżes uczynił że tak sroga spotkała cię kara?

Niewolnik westchnął głęboko, spojrział na niebo i odrzekł słabym głosem:

— Spełniałem mój obowiązek.

— Za spełnienie obowiązku zadano ci okrutną katuszę? Na Zeusa! Ależ to niepodobna! — zawołał Aureliusz, groźnie marszcząc brwi. I nie mogąc dłużej powstrzymać słusznego swego oburzenia, zbliżył się ku biedakowi i zabierał się do uwolnienia go z więzów.

Wyraz wdzięczności niezmierniej przesunął się po bladym obliczu niewolnika.

— Dzięki ci, cudzoziemcze — szepnął wzruszony — gdybyś jednak zerwał moje więzy, złą wyświadczyłbyś mi przysługę. Na męki nowe zostałbym skazany. Zostaw mnie, proszę, i oddal się, jeżeli mi sprzyjasz. Biada mi, gdyby cię tutaj spostrzeżono! — W tej chwili zbliżył się Kwintus. Ta bezmierna łagodność, niewyczerpana cierpliwość i prawdziwie

Dwaj młodzieńcy oddalili się w milczeniu. Uszedłszy kilkanaście kroków obejrzeni się poza siebie i spostrzegli jakiegoś mężczyznę, który odwiązywał pęta skrupowanego niewolnika, a potem, łajac i mrużąc uprowadził biedaka w ciemną głąb ogrodu. Przez kilka chwil jeszcze Kwintus i Aureliusz zatrzymali się pod kolumnadą świątyni, lecz wspaniałe krajobraz, cuda natury i sztuki w tej chwili straciły dla nich cały swój powab i nie zajmowały ich teraz.

Wracali do domu pogrążeni w smutnej zadumie, nie mogąc już nanowo poufniej nawiązać gawędy.

III.

Po drugim popołudniowym posiłku Oktawia, jej rodzina i goście: Kajus Aureliusz i Herodyanus udali się do *caracedium* czyli środkowego dziedzińca, który u starych Rzymian był najpiękniejszą częścią domu. Na kolumnach okrążających otwartą przestrzeń pięły się bluszcze, trawnik był niby jasnozielonym kobiercem, laury i cyprysy, magnolie, granaty i róże

zajmowały środek dziedzińca! Z marmurowego wodotrysku bił słup wody, dosięgający wierzchołków drzew najwyższych. Dwanaście posągów z połączanego brązu służyło za postumenty do świeczników. Zachodziło słońce, a z nastaniem zupełnego mroku dwaj niewolnicy weszli z pochodniami i zapalali światła, w rękach posągów i wzdłuż całej kolumnady umieszczone. Freski na purpurowym tle przy sztucznym oświetleniu wyglądały nierównie świetniej i wspanialej aniżeli w dzień.

Lutnistka z sąsiednich Kum zaczęła wygrywać jakąś tkliwą smętną, melodyę. W greckim stroju, z bujnemi włosami, skręconemi w węzeł, wysnuła i zręczna, cienkimi paluszkami przebierała po dźwięcznej lutni. Miała rysy delikatne i regularne, ruchy pełne wdzięku i grała wybornie, niekiedy tylko po jej licu przesunął się wyraz znużenia i smutku.

Gdy skończyła grać, została przez Baucis'ę odprowadzoną do drzwi i srebrnym obdarzoną pieniądzem, który przyjęła całkiem obojętnie.

— Czy wolno spytać o imię tej muzycznej dziewicy? — rzekł Herodyanus.

— Nazywa się Euterpe, jak muza muzyki — rzekła Lucylla.

— Euterpe! — powtórzył Herodyanus — śliczne imię! Czy to dziewczę jest greczynką?

— Pochodzi z Etruryi, była niewolnicą Marka Kokcyusza Nerwy, który ją obdarował wolnością. Niedawno wyszła za mąż w Kumach.

— Skądże, Lucyllo — spytała z uśmiechem Klaudia — dowiedziałaś się tyłu o niej szczegółów.

— Od Baucis'y.

— Ach! Baucis'a — zawołał Kwintus, umyślnie podniesionym głosem, aby przekomarzać się ze staruszką — po całym świecie zbiera tylko plotki, nie mogłaby żyć bez nich, jak ryba bez wody.

— Na wszystkich bogów! — krzyknęła płacząc Baucis'a — panie, ty mnie obmawiasz! Ty mnie szkalujesz! Może mi zazdrościsz tej troszki paplaniny?... Może chcesz, abym usta woskiem zalepiła?... O! co tego, to nie zrobię. Przyśięgam, że nie zrobię! Musiałam córki szlachetnego domu wychowywać i kształcić. Za to przecież ja, stara i teraz już do niczego nie zdatne straszyciło, spożywam w tym dostojnym domu chleb łaskawy. Ale też Baucis sumiennie wywiązała się ze swoich obowiązków. O najdobrotliwsza Izycy! ty wiesz, że mówię prawdę. Któż bo Klaudya nauczył śpiewać i grać na gitarze?... Ja. Od kogóż to Lucylla nauczyła się dwudziestu egipskich zaklęć czarodziejskich?... Także odemnie. A ileż to rozmaitych ciekawości naopowiadam im zawsze o świecie i o rozmaitych ludziach!... I ty, Kwintusie, nazywasz to plotkarstwem?... Ugrzecznoną jest tegoczesna młodzież! Niema co mówić!...

Odwróciła się srodze zagniewana, lecz gniew Baucis'y, zazwyczaj trwał tylko chwilę.

— Śpiewasz przy gitarze? — zapytał Aureliusz zwracając się do Klaudyi — o, chciéj zaśpiewać, proszę!

— Najchętniej — rzekła dziewczyna — czy pozwolisz, droga matko?

— Czemużby nie? — odparła Oktawia z uśmiechem — wiesz przecież, że to największa moja przyjemność słyszeć cię śpiewającą. I jeśli tylko prośba Aureliusza nie pochodzi jedynie z grzeczności...

— Pochodzi z gorącej chęci usłyszenia śpiewu twój córki, dostojna pani — odpowiedział Kajus Aureliusz, a tymczasem na skinienie Baucis'y niewolnica przyniosła dziewięciostrunną gitarę.

Było to ulubione ówczesne narzędzie muzyczne, wydobywano zeń dźwięki uderzając w struny pałeczką z twardego drzewa, kości słoniowej, albo metalu.

Klaudia z rąk niewolnicy wzięła gitarę, przewiesiła przyczepioną do niej wstążkę przez ramię i usiadła w fotelu. Próbując instrumentu kilka razy pociągnęła pałeczką po strunach, wreszcie zaśpiewała piosenkę sycylijskiego poety Ibikosa:

Była to wiosna i znowu kwitło,
Srebrnym strumieniem pojone.
Drzewo cydońskiej jabłoni *)
I znowu orszak nimf uroczych
Zabawiał się w wonnego lasu gęstwinie.
I kwiat się wonny rozwijał
Pod blaskiem złotego słońca.

* * *

A jednak i w tej uroczej porze
Smutek mem sercem owładnął
I niby tracka wichura światem,
On potężnie wstrząsa
Samą głębią mego serca.

Potem Klaudia jeszcze śpiewała ulubione podówczas łacińskie piosenki współczesnych poetów Stacyusza i Marcyalisa, wreszcie Kajus Aureliusz wzięwszy gitarę zaintonował hymn wojenny.

Silny i dźwięczny śpiew młodzieńca rozbrzmiał wśród ciszy wieczoru, aż nagle po słowach:

— Rycerze! nasz wódz w niebezpieczeństwie!... — ozwał się ktoś głosem drżącym z przerażenia:

— Spieszę! biegnę! leczę!... Magusie! czy nie wiesz, gdzie ja swój miecz postawił?... Jeszcze chwilę trzymaj się dzielnie, szlachetny panie, a my cię odbijemy!...

Wszyscy podnieśli oczy ku górze, skąd głos dochodził i ujrzeli wspartą o balustradę krużganku drugiego piętra, oświeconą księżycowym blaskiem postać, w której Kajus Aureliusz poznał swojego wyzwolenca.

— Mój dobry Herodyanusie, co ci się też przywidziało? Ależ ja wcale nie potrzebuję ani twojej, ani niczyjej pomocy i obrony. Czyż mogłeś myśleć aby gościom tego dostojnego domu groziło jakieś niebezpieczeństwo?

— Przecież wyraźnie na własne uszy słyszałem, szlachetny panie, jakieś rozpaczliwie wzywał pomocy.

— Śpiewałem wojenny hymn gockich rycerzy, a ty się zdrzemnałeś i przysniło ci się bogowie wiedzą co!

— Juźciż co prawda, rzeczywiście tak było... wszystkiemu winno to wyborne falerneńskie wino, któreśmy pili przy obiedzie, a gorąco i zmęczenie także. Wybaczcie, dostojni państwo!

Całe towarzystwo głośno się śmiało z Herodyanusa, a Lucylla oświadczyła, że przy pierwszym z nim spotkaniu chyba umrze ze śmiechu.

IV.

Nazajutrz wczesnym rankiem Kwintus wyszedł do „atrium“, gdzie ze zdziwieniem ujrział Lucyllę, która powitała go wesołym pytaniem:

— Cóż za powód tak wczesnie, wywiódł cię z twojej sypialni, ciebie, największego śpiocha z rodu Latynów?...

Zanim Kwintus zdążył odpowiedzieć uroczej dziewczeczce, ukazał się niewolnik na progu korytarza, prowadzącego z *perystylu*, czyli z przedsionka, do atrium.

— Panie — rzekł — listy są z Rzymu.

— Przynieś je tutaj, Bleepirusie.

Bleepirus wnet spełnił rozkaz; pomiędzy listami był jeden do Lucylli od Jowiszowego arcykapłana. Tytus Klaudyusz Mucyanus tak pisał do swjej przybranjej córki:

„Pozdrowienie i błogosławieństwo! Za pośrednictwem małżonki mej Oktawii, twojej przeznaczej matki, obiecałem ci, że list następnny do ciebie, ukochana córko, napiszę, przyrzeczenie to dzisiaj spełniam, wiedząc że cenisz ten dowód ojcowskiego mego przywiązania.

Wszelako, wieści w mym liście zawarte, nietylko ciebie, Lucyllo, obchodzą wyłącznie; ale was wszystkich.

Wiadomo wam, że uroczystość powtarzającą się co sto lat, uświetnianą igrzyskami, przedstawieniami w amfiteatrze,

*) Cydońskimi jabłoniemi starożytni Grecy i Rzymianie nazywali pigwy z miasta Cydonu na wyspie Krecie.

czyli uroczystość jubileuszową, cesarz Domicjan zamierzył w roku przyszłym święcić. Przygotowania do tej uroczystości wszystek czas mój pochłaniają; jestem bardzo zmęczony, gwałtownie potrzebuję wytchnienia i regularnego trybu życia pośród mojej ukochanej rodziny.

Serce moje stęsknione pragnie waszjej obecności. A więc proszę was, moi drodzy, wracajcie jak najrychlej do Rzymu!

Matka wasza, a moja ukochana małżonka Oktawia, już dzięki łasce najdobrotliwszego i najpotężniejszego Jowisza jest zdrowa.

I dla Kwintusa mam też, jak sądzę, miłą mu wiadomość: jego narzeczona Kornelia już wróciła do siedmiu pagórków. W tym roku wszyscy opuszczają wille wcześniej niż zazwyczaj, bo mamy wrzesień wcale nie upalny.

Oczekuję was zatem, najpóźniej w przyszły wtorek.

(d. c. n.)

PSOTNICE.

KOMEDYJKA W II-ch AKTACH.

p. Zuzannę Morawską.

(Dokończenie).

MARYNIA.

Ja się Józii nie dziwię, że gdy nie rozumie, Jak wielkiem to jest szczęściem, jeśli się co umie, Niema chęci do pracy.

JÓZIA (wzruszając ramionami).

Szczęściem!!! Ciągle ślęczyć

Nad książką, lub kajetem, bez przerwy się męczyć.

To mi nielada szczęście! I co mi tam z tego Gdzie kto kogo zwyciężył! Lub czy kraj wielkiego, Czy małego miał króla? Gdzie tam jaka rzeka, Albo miasto lub góra, bliska czy daleka.

I co mnie z tego przyjdzie?

(znów wzrusza ramionami i siada po drugiej stronie stolika odwrócona plecami do publiczności, podpierając głowę na rękę, Stefcio robi minę oburzenia, wstaje i zaczyna się przechadzać).

ZOSIA.

Ja nie wiem, lecz czemu

Mama ciągle powtarza. (Podnosi palec do góry i udaje

[głos poważny] „Nauka każdemu

„Jest potrzebna, bo bez niej życie zawsze trudne,

Z nią wszędzie...”

JÓZIA (wstaje gwałtownie i rozkładając rękami przerywa jej).

Tak, z nią wszędzie i zawsze jest nudne!

(zakłada ręce, odwraca się i zaczyna chodzić po scenie; Stefcio znów na nią spogląda z oburzeniem, siada przy stoliku, zaczyna przeglądać kajety i pisać).

MARYNIA (śmiejąc się).

Oj nie nudne, wierzaj mi, Józiczko kochana.

Właśnie mając naukę, to cię każda zmiana

Jaka zajdzie na świecie zajmie i obejdzie

I nic twojej uwagi nie minie, nie przejdzie.

Wskaże ci, co masz robić i czem dzieł zapełnić.

Jak zabawić przyjemnie, obowiązek spełnić.

Zresztą, ja może tego wyrazić nie umiem,

Czem jest dla nas nauka, lecz dobrze rozumiem,

Że bez niej... (namyśla się), bez niej człowiek jest jak-

[by maszyna.

Kręci się, chodzi, mówi, lecz czemu poczyna

W ten sposób a nie inny, to nic o tem nie wie.

STEFICIO (przerywając pisanie).

Daj pokój, moja Maniu, ona ci odpowie

Że to wszystko wymyśli

JÓZIA (zatrzymuje się z dąsem odpowiada).

Co tobie do tego,

Co ja Mani odpowiem?

ZOSIA.

Już to nic innego

Nie wypada uczynić, jak tylko gorliwie

Zabrać się do nauki, i kiedy życzliwie

Mama chce nam dopomóc, to nie tracąc czasu,

Wziąć się żwawo do książki, bez kłótni, hałasu,

Bo przyznaj, bez nauki cobyśmy robili?

Bawiąc się nawet ciągle, w końcu się znudzili.

JÓZIA (ciągle zadąsana, to staje, to chodzi).

Znudzili? Eh! ja i tak już dawno znudzona

MANIA (biorąc ją za rękę).

Bo nie umiesz dnia zająć, więc jesteś zmuszona

Szukać ciągle zabawy.

JÓZIA (przerywając).

Która mnie nie bawi.

JANEK (wbiegając).

Zwycięstwo! (wszyscy patrzą na niego ciekawie) Maryniu,

[mama cię zostawi

U nas długo, tak długo,... aż dotąd, dopóki

Nie dokazesz tej wielkiej nad sztukami sztuki

Że moja ukochana, siostrunia jedyna

Dobra ale czasami zbyt psotna dziewczyna,

Nie stanie się tak dobrą, jak ty, droga Maniu

MANIA (potrząsając głową).

Nie zostaną wiem o tem, żartujesz, mój Janiu.

ZOSIA (ze zdumieniem).

A to czemu? (prosząc) Maniusiu!

MANIA.

Bo mama nie może

Takich wydatków robić na mnie o tej porze.

JANEK.

Niewiadomo, co będzie, lecz panie mówiły

Bardzo długo coś z sobą; w końcu się zgodziły,

Że Marynia wraz z dwoma temi panienkami

Będą razem na pensyi, więc pensyonarkami

Naraz wszystkie trzy panny mam honor powitać! (kłania się).

JÓZIA (płaczliwie).

Mój Boże! co ja zrobię, wszak ja przecież czytać

Żadnym nawet językiem nie potrafię płynnie.

STEFICIO (przedrzeźniając ją).

Ale za to kajety drzeć potrafię słynnie.

JANEK (z powagą, odsuwa go ręką).

Nie przeskadzaj (podnosząc głowę z napuszeniem.

Trzy panny pięknie i przykładnie

Będą się razem uczyć wszystkie bardzo ładnie,

Bo Marynia wzór pracy, pilności, porządku,

Będzie ich wspierać radą, pomagać w początku,

Aż wreszcie dwie psotnice, powoli, nieznacznie

Zmieniają się najzupełniej i każda z nich zacznie

Uczyć się i pracować. A Mani zasługi

Są tak wielkie, że nigdy nie oddane długie

Józia z Zosią względem niej mają do spłacenia.

Jeśli co na to która ma do nadmienienia,

Niech się uda z swą skargą (wskazując ręką na drzwi)

[tam, gdzie wyższa władza

Ukochanych rodziców, co karząc osładza.

(kłania im się znów ciągle z miną napuszoną).

ZOSIA (biorąc go za rękę).

Janeczku, mój braciszku, jakis ty poczciwy,

Ześ nadał całej sprawie obrót tak szczęśliwy!

Bo Marynia zostaje (*całuje ją*) ona mi pomoże
Czas stracony odzyskać, gdy chęci dołożę.

STEFICIO (*żartobliwie do Józii, która stoi nawpół odwrócona*).

A jakże. Cóż siostruniu? Niema na to rady?

JÓZIA (*odsuwając go*).

Daj pokój, nie przedrzeźniaj i nie szukaj zwady.

(*Biorąc Manię za obie ręce*).

Maniusiu wszak i ty mi także dopomożesz?

MARYNIA.

Z ochotą moja Józiiu, jakże wątpić możesz?

Lecz ja sama, doprawdy, jeszcze nie pojmuję
Mego szczęścia, i chyba, że Janek żartuje.

JANEK (*udając znów dorosłego*).

Nie żartuję; najpewniej, mówię to poważnie
I dodam jako morał, słuchajcie uważnie,
Że pracowitość, zawsze zyskuje nagrodę.
Oto nasza Marynia, takie dziecko młode
Zyskała już dla siebie starszych zaufanie,
A przyznaję, że szczerze zasłużyła na nie,
Zyskała oprócz tego nas wszystkich szacunek.

(*klania jej się*).

STEFICIO.

Prześlicznie! Ale Józiiu, a z nami rachunek?

JÓZIA (*biorąc go za rękę*).

Braciszku, wszak mnie widzisz na drodze poprawy,
Przebacz...

STEFICIO (*z rozczuleniem, ściska ją za rękę*).

Rozbroiłaś mnie. Taki dramat łzawy!
Będę wspaniałomyślnym, przebaczam łaskawie!

MANIA.

Doprawdy, że przy waszój tak szczerój poprawie,
Najwięcej ja skorzystam. — Biegnę więc co żywo,
By za to podziękować. Jakżem ja szczęśliwa,
Ze będę razem z wami pobierać nauki!

(*Ściska za rękę Zosię i Józję*).

STEFICIO.

Wierzaj mi, że swój strony dokazałaś sztuki,
Ześ dwie zbłąkane owce z złój drogi zwróciła.

JÓZIA.

O tak, ja pragnę tego, bym tak dobrą była
Jak ty, droga Maryniu! (*całuje ją*)

STEFICIO.

Wiwat! zdrowie cnoty,
Co swym dobrym przykładem dodaje ochoty
Do nauki i pracy!

JANEK.

Niechaj żyje zgoda!
Pilność i praca wspólna! Ta nam drogę poda
Do miłości rodziców. A na znak poprawy
Spieszmy najpierw do pracy, potem do zabawy!

(*biorą się za ręce i wybiegają*).

Zasłona spada.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsza druga wciąż po łące
W lewo, w prawo miga, błyska,
Pędzi, zmiata kwiatki drżące,
Bujne trawy rzędem ciska.

O ty smółko! ty niebieska
Najsliczniejsza niezabudko!
Już ma Jani trzecie łezka,
Że cieszyłaś ją za krótko.

Nad wodą jeszcze się chwieje
Z złotym kwiatem szuwar długi:
To *wszystek!* Nie ocaleje
Na brzegu od *pierwszej, drugiej!*...

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Jastrząb z pod Lublina.

Z następujących sylab: Na—chost—ra—tra—pon—u
e—kwis—frai—burg—bo—ta—a—di—i—sze—stów—zan
—wi—stros—za—te—van—lis—ka—gran—ry—ty—ułożyć
wyrazy: 1. Stolica francuz. osady w Azji. 2. Rzeka w Azji.
3. Miasto w Alzacyi. 4. Mały kraj na południu Indyi wscho-
dnich. 5. Miasto w prowincyi Nadreńskiej. 6. Miasto w Por-
tugalii. 7. Miasto w ks. Poznańskim. 8. Jedna z wysp Joń-
skich. 9. Miasto nad Wisłą. 10. Miejsce rodzinne Ulisesa.
Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utwo-
rzą nazwisko sławnego pedagoga.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Kryptogramu:

Wiersz „Krzyż za wsią”.

Tam, gdzie schodzą się trzy drogi,
Krzyż ramiona w górę wznosi,
Pod nim siedzi dziad ubogi,
O jałmużnę ludzi prosi.
Małe dziecię przechodziło,
I litując się nad dziadkiem,
Ocierając łzy ukradkiem,
Grosz do puszeki mu włożyło.

Łamigłównki geograficznój:

1. Missisipi. 2. Aron. 3. Nowogród. 4. Dago. 4. Żar-
nowiec. 6. Utah. 7. Równoleżniki. 8. Jordan. Apeniny.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Szarańcza (z drzew.) — Wyjątki z książeczki Władzia. — Grobowiec Osmana (z drzew.) — Ruchome głązy p. A. M. (z drzew.)
Przed lat tysiącem. — Psotnice, komedyjka w dwóch aktach p. Zuzannę Morawską (dokończenie). — Łamigłównki i rozwiązania.
Dodatek: Poczciwy Medor p. V. Cairo (z drzew.) — Matka i Kazio, wiersz p. T. N. Czy praca jest nieszczęściem? — Opowiada-
nie ciotki Rózi. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Ka-
roliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



Pocziwy Medor.

POCZIWIY MEDOR.

— A teraz chodź tutaj Kaziu, jeszcze ci coś pokażę! — wołał z tajemniczą minką Zygmus do starszego braciszka, który przyjechawszy przed chwilą ze szkół do domu na wakacje, obiegał z nim razem wszystkie kącki zaglądając czy gdzie nie zaszły jakie zmiany od czasu ostatniej bytności. Przez ten krótki czas byli już prawie wszędzie. Mały uczeń przywitał już swego kucyka i psy podwórzowe; mieli czas nawet zajrzeć do stodół i na gumno gdzie zwożono z pola zboże, i podrażnić trochę na podwórzu folwarcznem indyka, wielkiego złośnika i nieprzyjaciela chłopców. To też Kazio był bardzo zaciekawiony słysząc, że czeka go jeszcze jakaś niespodzianka.

— Ciekawym co takiego? — zawołał z zajęciem.

— Cierpliwości! — zaraz zobaczysz — odparł Zygmus prowadząc go przez ogród ku oszklonej altanie przeznaczonej na ogrodowe narzędzia. Biegli tak pręd-

ko, że nie zwrócili uwagi iż za nimi w radosnych podskokach podążał śliczny wyżeł, Medor, ulubieniec całego domu, i dopiero skoro Zygmus otworzywszy już drzwi stanął w nich równocześnie z Kaziem, ten ostatni krzyknął i przelękniony schwycił psa za obrozę.

— Ach, kuropatwy! — zawołał. — Dlaczego nic mi nie powiedziałaś. — Medor mógłby je w jednej chwili podusić. — Ale jakie śliczne! — dodał z zachwytem. — Skąd je masz? Takie jeszcze młodzietkie, pewnie nawet dobrze fruwać nie umieją. Nieprawdaż?

— O nie obawiaj się Medora, — odparł żywo Zygmus, ucieszony radością jaką sprawił bratu prowadząc go tutaj — możesz go puścić swobodnie, on im z pewnością nic nie zrobi. Obaj zaglądamy tu po parę razy, na dzień przynosząc im wodę i jedzenie, a nawet one nic się go nie boją, jak widzisz...

I podczas kiedy obaj pieścili kolejno łaskawe młode kuropatewki, Zygmus opowiadał z zajęciem Kaziowi:

— Było to może przed dziesięciu dniami, jak wybraliśmy się z tatusiem w pole, żeby zobaczyć jak chodzi

nowa żniwiarka, wiesz gdzie? Tam na tem polu, co to z jednej strony jest lasek, a z drugiej taki bujny ugór. Medor jak zwykle nam towarzyszył i przez cały czas nie odstępował mnie wcale. Dopiero kiedyśmy usiedli trochę dla wypoczynku pod snopkiem, patrzę, niema go przy nas, a fornał stojący obok na wozie, mówi: O paniczu, Medor musiał znaleźć coś na ugorze, bo tak czegoś biega, a poszczekuje!...

Zerwałem się i pobiegłem ku miejscu na którem coś wąszył, w tem z pod trawy wybiegły cztery małe, choć już całe w pierzu kuropatwy, z okropnym piskiem kryjąc się przed czworonożnym wrogiem! Medor w okamgnieniu puszcza się za nimi, i wyobraź sobie tak był szlachetny, że ani jednej nie udusił, tylko schwyciwszy leciutko w zęby, posłuszny na moje wołanie przynosił mi je do rąk po kolei, całkiem nietknięte, zaledwie trochę poślinione...

— I żadne mu się nie wymknęło? — pytał zaciekawiony opowiadaniem Kazio, patrząc uważnie na Medora, który jakby rozumiał że chwałą jego postępowanie machał ogonem i przymrużał rozumne oczy.

— Jak widzisz są cztery, więc żadna, a tatuś powiedział że pozwala nam zająć się ich odchowaniem, a potem, skoro już dadzą sobie same radę na świecie, puścimy je na nasze pola.

— Dobry Medor! poczciwy piesek! — powtarzał Kazio głaszcząc lśniąca sierść wyła. — Wiesz co, Zygmuś, może mu damy podwieczorek za to, że tak łagodnie potrafił się obejść z bezbronnymi małymi piskletami?...

— A dobrze — odparł wstając z ziemi Zygmuś. — Rzeczywiście zasłużył na niego. — I chłopcy pobiegli copędzej na folwark, a w kilka minut później poczciwy Medor zajał obficie wydzieloną mu porcyę mleka zsiadłego z chlebem razowym, co było najulubieńszym jego przysmakiem.

V. Cairo.

MATKA I KAZIO.

KAZIO.

Zdaje mi się, że jestem w raj,
Gdy już kwitną drzewa w maju.
Kwiat jabłoni, kwiat nieduży,
Podobny do drobnej róży;
To też nieraz chęć mnie bierze
Zrywać z drzewa kwiecie świeże,
A trzymając kwiatek w ręku,
Listek skubać pomaleńku.

MATKA.

Nie czyn tego, moje dziecię!
Sznuj każde młode kwiecie,
Owocowy strzedz zawiązek,
To nasz święty obowiązek,
Z tą miłą w sercu nadzieją,
Że z czasem jabłka dojrzeją.

S. N.

Czy praca jest nieszczęściem?

CHORA JADZIA.

Nadeszły wakacje. Zosia dobrze zdała egzamin przed nauczycielką i rodzicami i, jak ptaszę wesoła, używała wakacyj.

— Ach, mamó! Co za złoty czas te wakacje! — zawołała raz przybiegając do matki. — A czy mnie mama pokaże kogoś, coby nie był ubogi, nie pracował i nie był szczęśliwy?

— Myślałam o tem Zośko, i nie długo będziesz czekała na spełnienie mojej obietnicy.

Niebawem oświadczyła p. S. Zosi, że pojedą do pobliskiej kuracyjnej miejscowości, gdzie właśnie znajdowała się chwilowo dawna jej przyjaciółka, pani B. z córkami.

Właśnie rodzina cała znajdowała się w ogrodzie, w altanie. Pani B. z radością powitała przybyłych i przedstawiła swoje cztery córki. Jedna z nich wysmukła, nadto delikatne czternastoletnie dziewczę, zwróciło na siebie uwagę Zosi. Podczas gdy wszyscy siedzieli na ławeczkach, ona w wygodnym fotelu spoczywała.

Po godzinie wesołej rozmowy pani B. rzekła do córek.

— Moje panienki, zajmijcie się herbatą; nakryjcie stół na ganku; dziś zupełnie w wasze ręce oddaję gospodarstwo. My się przejdziemy tymczasem po parku i pokażę ci jakieś tu urządzyły, moja droga — rzekła zwracając się do pani S. — A ty Zośko może zostaniesz przez chwilę z moją Jadzią?

— O, chętnie bardzo.

Dziewczynki zostały więc same. Nieśmiałe były obie, więc rozmowa z początku się nie kleiła.

— Jesteś tu zapewne dla leczenia się, Jadziu? — zapytała wreszcie Zosia. — Tak blade wyglądasz.

— Tak. To już tak czwarty rok. Od 9 lat nic już nie robię, ani się uczę, ani pracuję... Ach, żebyś wiedziała, Zośko, jak to strasznie smutno!

— Smutno? Dlaczego? Czy się nudzisz?

— Nudzę się? Nie; to nie to. Pozwalają mi czytać ale tylko powiastki, bo nauka mnie męczy; pozwalają robić ręczne robótki, byle niedługo. Widzisz? Takich koronek mnóstwo zrobiłam już dla mamy i sióstr, a wszystkim dzieciom ubieram lalki. Siostry gdy są wolne, lub mama, rozmawiają ze mną, grają mi, czytają, więc się i nie nudzę. Ale żebyś wiedziała Zośko, jak to smutno czuć się nieużyteczną! Siostry się uczą; każda z nich pomaga mamie, a kiedyś potrafi na świecie dla ludzi być użyteczną, a ja? Co ja komu mogę zrobić dobrego?

— Czy... czy ty potrzebujesz — jąkała Zosia.

— Czy jesteśmy biedni?... o, nie. I wiem, że ciężarem nie jestem nikomu; piękne sukienki, książki, cacka, któremi mnie obsypują, przyjmuję z chęcią, bo wiem, że rodzice są na to dość bogaci; ale to nic nie znaczy; ty nie masz pojęcia, Zosiu, co to jest wiedzieć, że się całe życie nie będzie mogło nic dla nikogo uczynić... Rodzice bogaci, siostry także, a jednak pracują; ile one dobrego kiedyś będą mogły zrobić! Gdy słyszę, jak je uczą, jak mają być dobrymi gospodyniami... to taki mnie żal chwyta za serce... ja nigdy, nigdy niczem nie będę, tylko taką roślinką, co w doniczce ją pielęgnują, nawet roślinka przynajmniej zdobi pokój!

Zosia nie wiedziała co odpowiedzieć... Łezki cięche spadały po twarzyczce choréj dziewczeczki, a Zosia czuła się także wzruszoną. Boże! a ona — ona szczęśli-

wa, zdrowa, zdolna, nigdy nie myślała o tem, że każdy powinien być użyteczny dla ludzi, że nie dla siebie tylko się żyje.

W tej chwili u fotelu Jadzi stanęły obie panie. Słysły tak cicho, że panienki nie zauważyły ich wejścia. Słyszały ostatnie wyrazy choréj.

— Tak, córeczko, jesteś roślinką, którą trzeba pielęgnować, ale każdy ją chętnie pielęguje i dokłada starań, bo mu zdobi mieszkanie; a ty, dziecko biedne moje, czy nie czujesz jak my ciebie kochamy, czy nie czujesz, że bez ciebie żyćbyśmy nie mogli?—I utuliła płaczącą dziewczeczkę.

— Tak, Jadziu — potwierdziła pani S. Słyszałyśmy waszą rozmowę, i mam nadzieję, że Zosi na pożytek pójdzie. Ale co do ciebie, uspokój się, dziecię, i nie rozpaczaj: słyszałam wiele o tobie i wiem, że swoją słodyczą, łagodnością, dobrem sercem, umiesz ozłocić życie wszystkim w domu. Bądź nadal taką, a staniesz się aniołem szczęścia dla swoich, chociaż sama cierpiąca.

— O! Pani! teraz będę więcej jeszcze pracować nad sobą! Więc naprawdę, i ja mogę być użyteczną? — mówiła, całując ręce pani S.

— Tak, dziewczeczko. A teraz—rzekła do Zosi, która stała zmieszana na boku — mam nadzieję, że potrafiśz ocenić pracę? Ale muszę ci pokazać jeden jeszcze przykład: osóbkę co nie pracuje, nie cierpi i nie czuje potrzeby pracy. Zobaczysz, czy szczęśliwa?

OPOWIADANIE CIOCI RÓZI.

PSZCZOŁY.

— Była sobie raz pewna królowa — mówiła raz ciocia Różia do Janka i Maryni — pewna królowa taka mała jak np. ziarko fasoli. Królowa ta pokrytą była brunatno-żółtem futerkiem z tak miękkim i cienkim włosiem, że w dotknięciu aksamitem się zdawało. Miała przytem skrzydełka przezroczyste i... trzy pary nóżek.

— Co? — zawołała Marynia — ależ ta królowa zupełnie do owadu podobna, ciociu?

— Może to mucha? — zapytał Janek.

— Wcale nie — zaprzeczyła Mania — muchy nie mają na sobie żółtego futerka.

— Prawda — odparł Janek. — Proszę cioci, i cóż dalej z tą królową?

— Jak jęj było na imię?

— O tem zapewne wiedzą jęj podwładne. Że jednak my nie rozumiemy języka owadów, więc imienia jęj powiedzieć wam nie mogę, gdyż istotnie moja królowa należy do owadów. Mogę jednak powiedzieć jeszcze parę o nięj szczegółów, a z pewnością domyślicie się nad jakimi to stworzeniami ona panuje. My ludzie, nazywamy ją „matką” i słusznie, bo jęj to pieczy oddane jest młode pokolenie, które wykluc się ma z jajeczek przez nią zniesionych. To też nie rusza się ona z domu, a domek ma skromny, drewniany, słomą pokryty, czasem okrągły, czasem kwadratowy, oparty na czterech nóżkach, ze szklaną z jednéj strony zasuwką, a przez tę zasuwkę widać... — tu ciocia Różia urwała uśmiechając się jakoś fluternie

— Cóż widać? Co? Moja droga ciociu! — zawołały dzieci.

— Widać coś takiego, co wy bardzo lubicie — dokończyła ciocia.

— Czy to się jada? — spytał Janek.

— Z chlebem na podwieczorek — odparła ciocia.

— Już wiem, miód! — zawołała Mania. — Czy zgadłam?

— Zgadłaś, Maniu.

— A więc ten domek to ul, a podwładne królowej to pszczoły — wołał Janek,

— Nieinaczej. W każdym ulu spoczywa królowa matka, a koło nięj uwijają się zwykle pszczoły pracownice. Całe lato zbierają słodki sok, który znajduje się w wielu kwiatach, zebrany w drobniutkich woreczkach w głębi kielicha. Sok ten przynoszą do ula i składają w woskowe kubeczki, wosk także czerpią z kwiatów. Wszak znacie plastery miodu?

— Znamy, znamy! — wołały dzieci.

— A czy przyjrzałyście się owym woskowym kubeczkom, zlepionym jeden z drugim, z których składa się plaster miodu? Wszystkie są do siebie podobne, wszystkie równe, każdy z nich ma sześć cieniutkich ścianek i każdy swoją pokrywkę.

Tutaj Marynia przyznała się, że więcej zwykle zajmowała ją zawartość tych kubeczków, niż ich forma, ale przyrzekła sobie przyjrzeć się im dokładnie przy pierwszej sposobności.

— Tym miodem — mówiła znowu ciocia — pszczoły żywią matkę, wykluwające się z jajeczek przysze towarzyski i siebie. Gdy zaś w ulu już jest tak wiele pszczół, że ciasno im żyć razem, wtedy pewna ich część wylatuje z ula i pod wodzą nowęj królowej matki nowego szuka sobie mieszkania. Mówimy wtedy, że pszczoły roją się, i jeśli wtedy pochwycimy matkę i osadimy ją w nowym ulu, wtedy reszta pszczół za nią podąży i na nowem mieszkaniu pilnie pracować zaczną. W zimie zaś pszczoły siedzą w ulu i żywią się zebrany w lecie miodem. Pracowitość pszczół jest tak wielką, że nieraz ludziom za wzór je stawiają: ludziom dorosłym, którzy za młodu pracować się nie nauczyli i dzieciom, które uczyć się nie chcą. Trzeba wam zaś wiedzieć, że do rodziny pszczół należą także trutnie. Duże to owady, same nic nie robią, a pracowitym pszczółkom miód zjadają. To też pszczoły nieraz je zabijają, broniąc owców własnej pracy.

Dzieci zadecydowały, że trutnie nie tylko próżnują ale i kradną, skoro wbrew woli pszczół zjadają im słodki miodek.

— Tak to bywa nieraz między ludźmi — zakończyła ciocia — kto nie pracuje, ten zwykle cudzym kosztem żyje.

SZARADA.

od Jagódki z pod Ark. dla Macierzanki.

Pierwszy — wszyscy dobrze znają,
Różnie go też nazywają
Stosownie do tego kraju
W jakim który wyrabiają.
Drugie — litera znana w alfabecie
W każdym ją piśmie znajdziecie,
Wszystko — chociaż nie widzimy
Z sobą zawsze je nosimy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Szumiącej Brzozy dla Niezapominajki z Zacisza!

Z następujących sylab O —kon—ga—wal—stry—dor—bel—lo—ro—wro—nar—an—li—kwa—e—ty—gon—i—bis—pa—tor: ułożyć wyrazy: 1. Ptak drapieżny. 2. Mięczak jadalny z grom. blaszkoskrzelnych. 5. Rodzaj zwierząt ssących z rzędu wielorybów. 4. Ptak z rodzaju wróblowatych. 5. Zwierzę należące do rodziny pustorogich, żyje w Alpach. 6. Ptak z rodziny wróblowatych, żyje w Australii. 7. Ptak zwiastujący wylew Nilu. 8. Nazwa linii do której odnosi się szerokość geograficzna. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwę najmilszych wiosennych kwiatków.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go

Szarady: Zaraz.

1. Davis. 2. Introbbio. 3. Ostrogożsk. 4. Gladiator. 5. Ewa. 6. Nogat. 7. Erie. 8. Sevres.
Diogenes — Sokrates.

Skrzynka do listów.

Maryi, Janinie i Malwinie O. W ogóle prosimy, aby rzeczy przysłane na konkurs robót były z jak najprostszego materiału do codziennego użytku, jeżeli wszakże przysłanoby nam jakieś robotki wikwintniejsze, z pozwoleniem użycia ich dla ubogich w myśl waszą kochane panią nie możemy mieć nic przeciw temu. Cieszymy się że w osobach Jutrzenki poleskiej, Jaskółki poleskiej i Zorzy majowej przybędą nam trzy nowe korespondentki.

Dobrze obserwujesz kochany **Obserwatorze**, tylko omyliłeś się w jednej ważnej rzeczy, a mianowicie w tem, że to co przypisujesz niewiadomości, było wprost nieuwagą korekty, która wszelkie t. p. błędy powinna usuwać. Do tej nieuwagi, nie już Gołąbka, którą to nie obchodzi, ale Redakcja przyznaje się zupełnie. Dla tak więc prostej rzeczy jak błąd nie poprawiony w druku, szkoda całej twojej wymowy.

Czyż by **Czteroooczce** kochanej dwie pary oczu służyły gorzej, niż innym jedna, że nie wyczytała prosby naszej, aby podczas wakacyj nie nadsyłać liścików do korespondentek. Gołąbka wyjechała na wieś, skąd zapewne dalej pojedzie; liściki zawsze z radością przyjmuje chociaż teraz nie będzie mogła odpowiedzieć na nie tak prędko.

Dla **Lwa z nad Pełtwi** wysłaliśmy żądane numery; pojedynczy numer kosztuje kop. 10.

Z całego serca winszujemy **Astrologowi** powodzenia w naukach, również jak i postanowienia użytecznego przepędzenia wakacyj. Polecamy literaturę Dubieckiego.

Ogrodniczka z Wołynia wybrała sobie bardzo ładny pseudonym, pod którym chętnie korespondować z nią będziemy.

Brunetce wyprawiamy żądany numer i bardzo się cieszymy wiadomością, że aż trzy pilne pracownice szyją odzież dla ubogich dzieci. Te kochane „małe siostrzyczki“ poczekać z tem muszą, aż dorosną, tymczasem jednak za dobre chęci należy im się serdeczny uścisk. Korespondentka, o którą zapytujesz, jest już wprawdzie staruszką, ale pomimo to ucieszy się odebrany liścikiem tem serdeczniej, że się znajduje tak daleko.

Świtezianka nadesłała nam dobre rozwiązanie. Od **J. B.** otrzymaliśmy łamigłówkę dobrze ułożoną, ale niestety! niedawno umieściliśmy taką samą prosimy zatem o inną.

Figlarce damy stanowczą odpowiedź po przejrzaniu łamigłówek.

Wróbelkowi z nad Wołku, jak również siostrzyczce jego **Goryczce** serdecznie dziękujemy za pamięć o koloniach letnich, dużo bowiem jeszcze słabowitych dzieci nie mogło wyjechać dla braku środków, resztę zaś pieniędzy oddaliśmy bardzo ubogim matkom kilkorga dzieci. Jedna z nich dotknięta ciężką, nieuleczalną chorobą, błogosławi tych, którzy opatrzili jej niedolę swoim miłosierdziem.

Drogie **Bombo** i **Jakobinko!** Choć mię nie znasz, **Bombo**, jednak wiem dużo o tobie. Na imię ci **Janina J.** Zgadnij kim jestem, odpisz mi proszę. Bywamy u waszej ciotki w **Bobowni**. Może się kiedy spotkamy? **Jakobinko**, czemu sobie obrałaś tak dziwny pseudonym? Bądź tak dobrą i donieś mi co o sobie. **Ja** jestem staruszką. Ściskam was obie serdecznie. *Topolka Srebrna.*

Kochane **Figlarko**, **Złota Pszczółko** i **Blyskawico**. **Figlarce** czko luba, śpiew i muzykę lubię bardzo, mówią, że mam wcale ładny głos. Śliczny masz pseudonym, **Złota Pszczółeczko**; jak ci na imię i co lubisz najwięcej? **Ja** nazywam się **Wikcia** i mieszkam na wsi koło **Berdyczowa**; a ty gdzie? **Blyskawico** luba, o dwa lata jestem młodszą od ciebie; czy czytałaś **Księżniczkę**, **Dwie siostry** i **Reginę**? Te trzy powieści zajęły mię niezmiernie. Ściskam was serdecznie oczekując rychłej odpowiedzi. *Sosenka.*

Kochana **Chmurko Lipcowa!** Z listu do **Gwiazdki** dowiedziałam się, że ci na imię **Klemusia**, lecz donieś mi więcej o sobie, gdyż chciałabym z tobą korespondować; czy dobrze? Na początek naszej znajomości posyłam ci hononim i serdecznego całusa. *Niezapominajka z nad Warty.*

Kochana **Chmurko wiosenna!** Pragnę z tobą korespondować. Jeżeli chcesz się czego o mnie dowiedzieć, to przeczytaj mój liścik, drukowany w Nr. 12 do **Cichéj Wody**. Donieś mi co o sobie. **Ja** mieszkam w **Warszawie**, mam pięcioro rodzeństwa; **Sosnowa Igielka** jest moją siostrzyczką. Odpisz, droga **Chmurko**, kochającej cię **Jagiellonce**.

Kochana **Kulko śniegowa!** Bardzo mi się twój pseudonym podoba; musisz równie jak **ja** lubić się ślizgać. Chciałabym wiedzieć, gdzie mieszkasz, wiele masz lat i jak się nazywasz? Odpisz *Synogarliczce*.

Drogie **Różowa Jutrzenko**, **Sosnowa Igielko**, **Chmurko wiosenna** i **Topolko srebrna**. Może zechcecie ze mną korespondować? Mam lat 12, mieszkam na wsi, którą bardzo lubię, i mam dwie siostry. Czy lubicie czytać? Jakie powieści najczęściej się wam podobały? Odpiszcie kochającej was *Dziwioi*.

Kochana **Zorzo** i **Biały bie!** Czy mieszkasz w **Warszawie**, **Biały bie?** A ty, **Zorzo**, dlaczego tak dawno do mnie nie pisałaś? Proszę, nie dajcie długo na odpowiedź czekać. **Mysze białej**, **Szarotce**, **Sarence modrookiej**, **Niezapominajce z nad Warty**, **Jesieni**, **Sasance**, serdeczne uściśnienia przesyła *Cyganeczka*.

Kochana **Wesoła Leśmierzanko!** Wiem, że nazywasz się **Zosia B...** masz dwóch braci, **Stasia** i **Władzia**. Podobałaś się to bardzo o opowiadania wspólnych naszych kuzynek. *Różowa Jutrzenka*.

Chciałabym korespondować z tobą, kochana **Niezapominajko z Zacisza**, mam lat 14, jestem żywą i wesołą, z nauk najlepiej lubię literaturę i muzykę. Mieszkam zimą w **Warszawie**, a na lato wyjeżdżam na wieś na **Biało-Ruś**. Ściskam cię. *Szumiąca Brzoza*.

Kochana **Chmurko wiosenna!** Od czterech lat prenumerujemy **Wieczory Rodzinne**, a żadna z panienek mi nie odpisała, czekam więc od ciebie odpowiedzi. Lat mam 10, uczę się w domu, najlepiej lubię rachunki i uczę się na pamięć wierszy, gram także i rysować się uczę. Mam cztery siostry. Proszę cię, donieś mi wszystko nawzajem o sobie. Ściskam cię serdecznie. Twoja *Srocza z nad Wisłoki*.

Szanowny **Astrologu!** Chociaż nie jesteś jeszcze siwowłósym starcem, umiesz już przyszłość z gwiazd przepowiadać, wi c może ją i nam przepowiedzieć, jeśli się gdzie spotkamy na plancie. Prawdziwie uczniowski uścisk przesyłają ci i o spiesznej odpowiedzi proszą. *Butrym i Strzelec z nad Narwi*.